

Adam Wiaryga-Minieski.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

14

— Lolu — powiedziała pani Żarnicka do córki — weź koszyczek i przejdź się ulicami... Wszystkie panny już chodzą.

— Dobrze, mamusiu. — Wstała i zaczęła układać perkalowe niezapominajki w drucianym koszyczku.

— Ja będę pani towarzyszył — ofiarował się Władek Koszczyk — zobaczy pani, jak będę ślicznie dzwonił puszką... Przyjmie mnie pani za towarzysza?...

— Ależ naturalnie, z przyjemnością — odpowiedziała panienka trochę wahająco i rzuciła z pod rzes ukradkowe spojrzenie na Łuniewskiego, który jednakowoż, nie spostrzegając tego, ustawiał na stoliku wazon z świeżymi kwiatami.

— Julek zostanie!... — mówił dalej Władek. — On jest za ciężki, za leniwy!... Co innego my młodzie!...

Władek zaśmiał się i pogładził wos. Brwi pani Żarnickiej zsunęły się lekko, a Lola stała się, jakby jeszcze bledsza.

— Chodźmy, panie Władysławie...

Przy stoliku zostali pani Żarnicka z Józją — w towarzystwie Łuniewskiego.

Zaledwie Lola i Koszczyk zniknęli w bocznej ulicy, na rynku pojawiła się pani Kasztalińska, w czarnym jedwabnym kostymie, ze swoim nieodstępem „lorgnon“ w ręce.

Obchodziła ona tak wszystkie stoliki, niby generał, czyniący przegląd swej armii.

— Dzień dobry państwu!... Dzień dobry! — zawołała, podchodząc do stolika Żarnickiej. — Jakże idzie?... O! Na tacy niewiele jeszcze, a puszka?...

Wzięła puszkę i ważyła ją przez chwilę w ręce.

— Lekka — powiedziała z grymasem niezadowolenia — stanowczo lekka!... O! Nasza publiczność bardzo się zepsuła!... Nie chcą dawać!... I to jeszcze każdy pyta zaraz: A na co, a dla kogo, a po co, a gdzie?... Parę halerzy da, a chciałby, żeby mu dokładny rachunek zdawać ze wszystkiego. Lekka puszka, bardzo lekka!...

— Wcześniej jeszcze — zauważyła pani Żarnicka — do południa dosyć się zbiera!...

— Od rana trzeba zaczynać energicznie!... Od rana, proszę pan!... Wie pani, ta fikotka Tyssowska prorokowała po swojemu, że dochody nie pokryją wydatków!...

— Ktożby zważał na Tyssowską...

— Oczywiście, oczywiście! Ale musimy jej pokazać...

Kasztalińska spojrzała na Józję i przez dłuższą chwilę zatrzymała na niej wzrok.

Prezesowa знаła się na urodzie i skonstatowała, że młoda mężatka wygląda prześlicznie, chociaż twarzyczkę ma dzisiaj trochę bladą i jakby smutną, a strój jej jest bardzo skromny.

— Panna Lola poszła już?... To pięknie. A pani? Czemuż pani nie bierze koszyczka i nie przebiegnie po mieście!... Taka młoda osoba, a siedzi przy stoliku nieruchomo... Do czego to podobne?... No! Dalej do roboty!... — zachęcała prezesowa Józję, uśmiechając się do niej przyjaźnie.

Młodej kobiecie błysnęły oczy. Tak jej tutaj było nieswojo przy boku świekry — taka się czuła skrzepowana, zmieszana...

Z chęcią pobiegłaby na miasto!...

— Ale czy pani Żarnicka pozwoli?...

— Ja owszem, chętnie... — odpowiedziała niepewnie Józja — ale nie wiem...

— No raz... dwa!... Niech się pani zbiera!... Pan Łuniewski z panią i konie!...

Julian wpatrzył się w Józję, która pytające spojrzenie zwróciła ku pani Żarnickiej.

— Daruję pani prezesowa — powiedziała spokojnie, chłodno pani Żarnicka — ale synowa moja zostanie przy stoliku... Bieganie po ulicach dobre jest dla panien, ale nie dla mężatek!...

— Ech!... Taka stara mężatka!... — zaśmiała się Kasztalińska. — Nic się pani Konradowej nie stanie, jeżeli się przeleci trochę!... To na cel dobroczynny przecież!...

— I przy stoliku zbierać można!...

— Trzeba czekać, aż kto podejdzie!... To nie to samo!... Nie rozumiem, dlaczego pani syno-

wej nie chce pozwolić... Doprawdy, możnaby powiedzieć, że ja pani... trochę... trochę... tyraniżuje... — mówiła ze złośliwym spojrzeniem Kasztalińska.

— Ale, cóż znowu... O tyraniżowaniu niema mowy... No, Józju, powiedz sama, chcesz chodzić po ulicach?...

Spojrzenie, jakie pani Żarnicka utkwiała w synowej, było rozkazujące, zimne i ostre, jak stal.

Mówiło ono wyraźnie: Nie waż się!...

I to właśnie wzburzyło w Józji krew — zbudziło w niej znowu ducha oporu!...

Młoda kobieta przeżyła już dzisiaj przykrą, burzliwą scenę, która pozostawiła ślady łez w jej oczach.

Przed samem wyjściem, kiedy już Józja zaczęła ubierać się, pani Żarnicka weszła do jej pokoju i powiedziała:

— Nie będziesz siedziała przy stoliku... Napiszysz sama do Kasztalińskiej, że czujesz się niezdrowa i dlatego nie możesz brać udziału...

Józja spojrzała zdumiona i wypuściła z rąk rękawiczkę, przy której przyszywała brakujący guziczek.

— Dlaczego? — zapytała.

— Bo tak ja sobie życzę i taka byłaby na pewno wola Konrada.

— Czy mama i Lola będą?...

— My, oczywiście.

— Konrad mówił mi wyraźnie, że życzy sobie, abym była w towarzystwie Loli i pod opieką mamy... Więc nie rozumiem, dlaczego...

— Aha! Naturalnie, chcesz się bawić i kłopotować w nieobecności męża!... Dobrze!...

Twarz synowej zabarwiła się gorącym rumieńcem.

— To przecież nie żaden bal ani zabawa!... A zresztą mama sama powiedziała mi, że będę...

— Nie rezonuj — tylko napisz to, co ci mówiłam!...

Wtedy usta Józji zacisnęły się, a w oczach rozgorzał płomyk buntu.

— Ja tego nie napiszę! — powiedziała stanowczo — Mogę w dniu „kwiatka“ nie brać udziału, jeżeli mamie o to chodzi, ale kłamstw nie będę wypisywała!... Nie dam się do tego zmusić!...

Mierzyły się przez chwilę spojrzeniami. Wreszcie Żarnicka syknęła:

— Ubieraj się, a nie zrób ze siebie czupiradła, za którymby się wróble na dachach ogładały!... I zachowuj się porządnie!... Oczami nie strzelaj na mężczyzn, rozumiesz!... Żebyś się nie musiała wstydić za ciebie, bo, niestety, jesteś moją synową!...

— Oj! Niesztety!... — jęknęła Józja, kiedy świekra zniknęła za drzwiami.

Łzy popłynęły po pobladłych policzkach młodej kobiety. Odeszła ją ochota do ubierania się i do „kwiatka“. Możeby ustąpić i napisać do prezesowej?... Kto wie, jak Konrad...

Po chwili jednak Józja otrząsnęła się z przygnębienia.

Nie! Tego nie zrobił!... Nie da się tak tyraniżować!... Nie jest przecież więźniem, ani niewolnicą!

Otarła oczy, obmyła zimną wodą świeże ślady łez i ubrała się starannie.

Włożyła skromną batystową sukienkę, pamiętającą jeszcze praskie czasy, kapelusz, który sobie sama obciągnęła kawałkiem białej gazy i otoczyła wianuszkami chabrów i obejrzała uważnie rękawiczki, aby się przekonać, czy pocierowania końców palców nie są nazbyt widoczne.

Na nowe rękawiczki nie miała pieniędzy, a Żarnickiej prosić nie chciała. Nie przyszło jej to zresztą nawet do głowy, żeby to zrobić mogła.

Kiedy Józja, zupełnie już ubrana, przejrzała się w lustrze, przelotny uśmiech zadowolenia rozjaśnił jej posmutniałą twarz.

Przyznała sobie sama, że wygląda ładnie.

— Trochę zanadto jestem mizerna — pomyślała — Larchówna miała rację... Ale to nic dziwnego, że mizernieję. Przy takim życiu...

W tej chwili zapukano do drzwi.

— My już wychodzimy. Czy jesteś gotowa? — zabrzmiał głos Loli.

— Zupełnie gotowa.

— — — — —

W buntowniczym usposobieniu Józja wyszła z domu i dlatego teraz nie usłuchała niemego rozkazu świekry, ale odpowiedziała spokojnie:

— Owszem, pójdę bardzo chętnie.

Pani Żarnicka zacisnęła swoje wąskie wargi.

— A widzi pan!... — zawołała Kasztalińska,

dobrodusznie niby, lecz kąty jej ust drgnęły złośliwym uśmiechem.

— Więc idź! — powiedziała krótko pani Żarnicka.

Głos miała spokojny, nie mogła się jednak na tyle opanować, aby z jej czarnych oczu nie strzelił ku synowej płomień nienawiści.

Józja, która wstała już od stolika, zadrżała nagle nieokreśloną trwogą i zawałała się, niepewna, co ma robić.

Kasztalińska jednak stała już przy niej i wtykała jej w rękę koszyczek z kwiatkami.

— No, dalej do roboty, a żywo, z uśmiechem! Zrobić ładną minkę!... Żeby pani wróciła z pełną puszką. — dokończyła, podając Łuniewskiemu puszkę.

Prezesowa zaopatrzyła jeszcze Łuniewskiego i Józję w kilka fachowych „kwestarskich“ uwag i, pożegnawszy Żarnicką — bardzo zadowolona ze siebie, udała się na dalszy przegląd.

Niedługo potem na rynku ukazała się znowu Lola z Koszczycem.

Dziewczynę krew uderzyła do głowy, kiedy zobaczyła matkę samą przy stoliku.

— Gdzie Józja? — krzyknęła prawie — I pan Julian?... — dokończyła ciszej.

— Poszli z puszką po mieście. — odpowiedziała krótko matka, topiąc w córce znaczące spojrzenie.

Chwilowy, krwisty rumieniec Loli ustąpił miejsca sinawej jakiejś bladeści.

— Jaki?... Przecież mężatka...

— Prezesowa nalegała, no i sama chciała koniecznie.

— Tak?... Ależ doprawdy! Co ludzie... coby Konrad na to powiedział.

— Jeżeli sama chciała... — odparła pani Żarnicka, dobitnie akcentując wyrazy.

— Proszę pani — wtrącił Koszczyk — cóżby pan Żarnicki mógł mieć przeciw temu... Takie młode mężatki mogą jeszcze śmiało stanąć w rzędzie panien...

I Władek trochę filuternie zerknął z boku na Lolę.

— Zależy, jak kto zapatruje się na poważne obowiązki małżeństwa. — odpowiedziała pani Żarnicka — Mniejsza jednak z tem... Dużoście zebrali?...

— Niezbyt dużo — rzekła Lola, siadając obok matki — ludzie mają już dosyć tych wiecznych „kwiatków“ i, co prawda, mają rację...

— Wiele hałasu o nic. — zaśmiał się Koszczyk.

— A tak. Więcej hałasu, krętaniny, flirtu i strojów, jak pożytku.

Pani Żarnicka spojrzała na córkę niezadowolona. Nie lubiła, kiedy Lola wypowiadała za nadto śmiało, samodzielne myśli.

— Moja Lolu, proszę cię, nie zapatruj się na panią doktorową Tyssowską i krytykę pozostaw osobom starszym, które mają więcej od ciebie doświadczenia... Istotnie, niewiele zebraliście. — dodała, biorąc do ręki przyniesioną puszkę.

— Inne jeszcze mniej mają. — odpowiedziała Lola — Czy, mamusiu, Józja dawno poszła?

— Przed kwadransem.

— Nie chcą dawać, stanowczo nie chcą. — zawołał Władek, rozkładając ręce z komiczną rozpaczą — Trząśłem puszką, dzwoniłem, prosiłem, namawiałem, przedstawiałem szczytny cel, niczem sama pani prezesowa Kasztalińska, ale ludzie stwardniali, no i nie dziwię się im...

Matka i córka, pomimo wewnętrznego rozdrażnienia, musiały uśmiechnąć się z zabawnych min Koszczyca...

— Gorąco... — westchnął, ocierając czoło chusteczką.

— Czemuż pan stoi? Proszę, niech pan usiądzie. A ty zmęczona jesteś, Lolu?...

— Bardzo. A w którą stronę poszła Józja?

— Nie wiem.

W tej chwili na tle oblanego słońcem rynku, wynurzyły się postacie Mici Kożuchowskiej i pana Potyrowskiego.

— Dzień dobry. — zawołała panna Micia, zbliżając się do stolika Żarnickich — Jakże idzie? O! Lolusia już się zmęczyła?... To prędko. Widać słabiotka. Ja jestem wytrwalsza. Od ósmej godziny biegam, prawie, że nie odpoczywam.

— Nic dziwnego. Ma pani więcej wprawy... Od tylu lat... — odpowiedziała spokojnie pani Żarnicka.

Pięgi panny Mici poczerwieniały pod grubą warstwą pudru.

— Za to synowa pani okazuje niezwykłą energię... — zaszczębiała słodkavo-cierpkim